

w zakładzie. Ludzie powtarzali sobie powiedzonka ze sceny, przy-
mierzając własne sytuacje do tego, co rozgrywało się między aktorami.
Dało mi to wiele do myślenia i coraz uważniej traktowałem rozrywki
kulturalne, wycieczki do muzeów, na koncerty itd.

Ale najbardziej cieszy mnie to, że udało się nam rozwinąć sport,
i że nie uczestniczy w nim jedynie garstka zapaleńców, lecz wszyscy,
którzy coś jeszcze mogą zrobić. Mamy kilka sekcji, ale oczkiem w głowie
są nasi piłkarze. Zbudowaliśmy im drugie boisko do treningów, szatnię
z prysznicem, postawiliśmy trybuny. Gdy odbywa się u nas mecz,
żyje nim całe miasteczko. To nie jest mecz, to jest wydarzenie. Na
boisku spotykają się wszyscy: mężczyźni starzy i młodzi, kobiety i dzieci.
Sam nigdy żadnego meczu nie opuszczam. Mam też wtedy okazję po-
gadać z ludźmi. I oni są zadowoleni i ja jestem zadowolony. Ale nie
dlatego tak postępuję, że to się ludziom podoba. Postępuję tak, bo nie
mógłbym postępować inaczej. A że ludzie to lubią — to fakt. Ludzie
chcą, żeby ich dyrektor miał te same pasje co oni, żeby był takim samym
jak oni człowiekiem. To nas zbliża i sprawia, że nie czujemy się sobie
obcy. Demokracja to jest dobra rzecz. Ale żeby być demokratycznym,
trzeba też mieć pewne inklinacje do tego. Są ludzie, którzy, żeby nawet
pękli, pozostaną sztywni, nieprzystępni, denerwująco wyniośli. Jest
coś takiego w ich naturze, co nie pozwala im być naturalnymi, bez-
pośrednimi, właśnie — demokratycznymi. Nie chcę przez to powiedzieć,
że demokratą trzeba się urodzić, bo to byłaby bzdura. Ale demokracja,
która zmienia stosunki międzyludzkie, zakłada właśnie, że ludzie muszą
być ludźmi. Nie jest to takie łatwe, jak się na pozór wydaje. Czasami
myślę nawet, że jest to diablo trudne, i że rozbija się o to wiele ważnych
spraw.

Ale dość już tych zwierzeń. Rozgadałem się jak rzadko kiedy. Aż
się sobie dziwię. W domu nazywają mnie „mleczkiem”, a tu gadam,
jak nieproszony gość i w dodatku sam do siebie. No tak całkiem do
siebie — to nie. Bo przecież wy mnie słyszycie. Słyszycie i widzicie.
A czy słyszycie ten szum morza za oknem? Tak pięknie morze szumi
tylko we wrześnie.

Ewa Grażyna Gorczycka

KOLOROWE BALKONIKI

Jestem stara, po prostu stara, mam 70 lat. Właściwie nie zoriento-
wałam się kiedy to nadeszło; wy też nie zauważycie, daję głowę.
Sklamałabym, przemilczając tamten moment sprzed czterdziestu laty:
malowałam rzęsy tuszem i nagle, gdy zbyt mocno wysunęłam głowę do
przodu, lustro odbiło drobnutką sieć zmarszczek na szyi; zmieniłam
pozycję, zmarszczki zniknęły. Szybko zapomniałam o tym zdarzeniu;
mężczyźni oglądali się jeszcze za mną, Józef kochał jak przed ślubem,
czym miałam się martwić. A właśnie tamta chwila była pierwszym
dzwonkiem mojej starości i nie należało jej lekceważyć. Ja poprzestałam
na nieoglądaniu szyi w lustrze.

Tak naprawdę starość zrosła się ze mną pięć lat temu. Pamiętam
dokładnie, czternastego maja spojrzałam w lustro i zobaczyłam inną
kobietę. Obserwowałam ją chwilę, próbowałam wygładzić zmarszczki
pod oczami, przesunęłam palcem po bezzębnych dziąsłach, potem
powiedziałam patrząc tamtej w oczy — „Stało się, rozumiesz, stara”.
I przestraszyłam się tego słowa, bo człowiek zewnętrznie oczywiście też,

Od tego dnia zaczęłam się zmieniać: zewnętrznie oczywiście też,
ale ważniejsze było w środku; jakby to powiedzieć, czułam, że stale coś
ode mnie odchodzi, niby takie ubywanie. Postanowiłam się obserwować,
robić na sobie małe doświadczenia. Na przykład dawniej, gdy jeszcze
pracowałam, odcinek między Bema a Wronią przebywałam w dziesięć
minut, teraz w piętnaście, a bardziej się staram niż poprzednio; albo
wejść na pierwsze piętro i już się zadysze, trzeba odpoczywać, a przedtem
to do czwartego lekko doszłam.

Mieszkam sama, to jest moja druga zmora. Mam nieduży pokój
z kuchnią i łazienką. Staram się, by było czysto, kupuję nawet kwiaty
do wazonu, czasem przestawiam meble, by coś zmienić, ale to wszystko
nie zastąpi drugiego człowieka. Dawniej, gdy jeszcze pracowałam, każ-
dego tygodnia planowałam co będę robić. Zwykle dnia nie starczało na
tyle spraw. Teraz właściwie nic nie trzeba, a ja po staremu w niedzielę
wieczór sporządzam harmonogram zajęć na cały tydzień. Piszę: po-
niedziałek — zakupy, wizyta u lekarza, telefon do Kazi, po południu
kino; wtorek — pranie, spacer, wymiana książek w bibliotece, praso-

wanie; środa — zakupy, sprzątanie, wizyta u Kazi albo ona u mnie; czwartek — mycie głowy, sadzenie kwiatów na balkonie, po południu spotkanie w związku rencistów; piątek — zakupy, wypełnianie totka, odbiór bielizny z pralni, telefon do Kazi; sobota — zakupy, większe sprzątanie, spacer, pieczenie ciasta. Wypisuję te zajęcia na poskładanej w sześć części kartce, potem skrupulatnie skreślam co już zostało zrobione. Gdy czasem nie uda się w danym dniu zrobić tego co zaplanowałam, jestem szczęśliwa; kładąc się wieczorem do łóżka, mówię: Byłam tak zajęta, miałam tyle rzeczy na głowie, że nie zdążyłam. I wówczas wraca dobrze znane uczucie zapracowania, nienadążania za czasem.

Z Kazią to jest tak: znamy się od pięćdziesięciu lat, ale ona mieszka u dzieci, zajmuje się wnukami. Gdy się do nich wejdzie, zaraz widać, jak bardzo jest potrzebna — „Babciu to, babciu tamto, mam, pozwól na chwilę”. Nawet nie możemy spokojnie porozmawiać. Kazia niby się żyje, jednak w głębi serca jest rada. A ja po prostu jej zazdroszczę. Żeby mnie tak kto potrzebował, żebym na godzinę musiała wyprowadzić wnuczka do szkoły albo przyszyć mu kołnierzyk do fartucha. Szkoda mówić jak bym chciała. Czasem myślę, że Kazia robi mi łaskę pozwalając do siebie przychodzić. Ona nigdy tego nie okazuje, broń Boże, ale widać, że z trudem znajduje dla mnie czas. Chodzę tam raz w tygodniu i choć czasami który wnuczek mnie potrąci, to i tak chętnie idę, by trochę pożyć ich życiem, poczuć się jak w rodzinie. Kazia odwiedza mnie co drugi tydzień, zawsze coś wtedy przygotowuję, możemy spokojnie porozmawiać przy herbatce.

W każdy piątek gram w totka. Długo zastanawiam się, co skreślę, planuję cyfry najpierw na brudno, wstawiam je tak i inaczej, by w końcu, po długim namyśle, skreślić te właśnie. Wypełniam tylko jeden kupon, bo trudno z mojej renty tak się szarpać; gdybym miała więcej pieniędzy, skreślałabym trzy, nawet cztery kupony. Bardzo pragnę wygrać. Ciekawi jesteście na co mnie, starej samotnej kobiecie, potrzebne pieniądze. A potrzebne i to niemało. Nie, nie dla siebie, może nawet nie bym sobie nie kupiła. Te pieniądze poszłyby na założenie rodziny. Dałabym ogłoszenie do gazety, że chcę założyć rodzinę i dobrze zapłacić. Planuję tak: jakiś starszy mężczyzna, dziadek, to znaczy mój fikcyjny mąż, córka albo syn z żoną, dwoje a nawet troje dzieci, i ja — stworzylibyśmy tę rodzinę. Oni nie powinni być spokrewnieni, to bym zastrzegła, bo wówczas traktowałiby mnie jak kogoś obcego. Myślę, że żylibyśmy się ze sobą, może nawet pokochali. Ja bym dobrze za wszystko zapłaciła,

ale lepiej, by nie udawali. Oczywiście wnuki będą najważniejsze. Myślę, że pieniędzy z totka starczy na jakie kilka lat, potem, gdy nawet zbraknie, wnuki dorosną i nie zostawią babci samej.

Wspominałam o planowaniu zajęć na cały tydzień. Nigdy jednak nie układałam nic na niedzielę. Zawsze mam takie przekonanie, że w niedzielę musi się wydarzyć coś ładnego i dobrego, ale samo z siebie, bez mojego udziału; na przykład mógłby mnie odwiedzić ktoś z rodziny męża, albo jakaś stara przyjaciółka; przyjdzie nagle, niezapowiedziana i nieproszona, po prostu robi niespodziankę. Czekam tak każdej niedzieli od pięciu lat, to znaczy od śmierci Józefa, i jeszcze nie takiego się nie wydarzyło. Trudno uwierzyć, prawda? Jednak tak jest. Czasem, gdy na zimno o tym pomyślę, że jeszcze nigdy nie odwiedził mnie nikt, do kogo przedtem nie dzwoniłabym, nie zapraszała, ogarnia mnie rozpacz. Myślę wtedy — więc jestem do tego stopnia nikomu niepotrzebna?

Często wspominam moje współżycie z Józefem; byliśmy ze sobą ponad czterdzieści lat. Tak przeszliśmy wzajemnie sobą, że czasem zastanawiam się, gdzie jest Józef, a gdzie ja. Przejęłam jego upodobania, sposób bycia; pamiętam, że gdy się pobieraliśmy, bardzo nie lubiłam kaszy gryczanej, za którą Józef przepadał; po kilku latach ja także ją polubiłam. I tak było ze wszystkim. To nie znaczy, że tylko ja ustępowałam, nie, wzajemnie dopasowywaliśmy się do siebie bez kłótni i pretensji, nawet sprawiało nam przyjemność, że jedno może się zmieniać według woli drugiego. Stawiano nas za wzór jako dobrane małżeństwo, ale nikt nie wiedział czym w rzeczywistości był dla mnie Józef, a ja dla niego; jak bez powietrza, nie umieliśmy żyć bez siebie. Przez tyle lat ani jednego urlopu nie spędzaliśmy osobno; jakoś nie mieściła się w głowie długa rozłąka. Niektórzy mówili, że trzeba od siebie odpocząć, że to dobre dla zdrowia psychicznego; nie rozumiałam o co im chodziło, bo dla mnie Józef to było zdrowie i najlepszy wypoczynek. Nasze pożycie układało się pomyślnie. Jedynym nieszczęściem, które nas dotknęło, była śmierć córki. Potem nie mogłam już mieć dzieci. Dziwne, ale to była większa strata dla Józefa, niż dla mnie — on kochał małą ponad miarę, ja jego bardziej niż córkę. Jednak nawet on nie zdawał sobie sprawy, jak dzieci są potrzebne potem, na starość. Co ja bym teraz dała, by mieć przy sobie taką córkę; i wnuki byłyby na pewno. Józef wspominał o adoptowaniu dziecka, lecz to nie było przyjęte w naszej rodzinie. Teraz myślę, że rodzina rodziną, a ja jestem sama jak patyk.

Mówiłam już, że najgorsza jest niedziela. Człowiek chodzi z kąta w kąt, stale na coś czeka, nie wie co ze sobą zrobić. Mijają godziny przedpołudnia, długie jak wieczność popołudnie, w końcu wieczór, który jest taki smutny i budzi tęsknotę. Za czym? — za młodością, za Józefem, za drugim człowiekiem? Najgorsze są niedziele latem, gdy wszystko łśni od słońca i radości. Widzę przez okno ludzi: spacerują, z czegoś się cieszą, może nawet nie jest im tak dobrze, jak na to wyglądają, ale chyba lepiej niż mnie. Zawsze jest w niedzieli tęsknota i dlatego tak jej nie lubię.

Rodzina, którą chcę założyć za pieniądze z totka, musi się bardzo kochać i zgadzać ze sobą, jak Józef ze mną. Ja byłabym główną osobą, która wiedziałaby o wszystkich — jakie mają kłopoty, czy im ktoś dokuczył, czy coś ich boli. Znajdę na wszystko radę, jak ją znajdowałam w moim małżeństwie. Gdy przyjdzie do mnie Kazia, to dopiero będzie radość: zobaczy, jak jestem potrzebna przybranej córce i zięciowi. Też nie zawsze znajdę czas, żeby się z nią spotkać. A kiedy już siądziemy, coraz to wpadnie który wnuczek, by mu babcia w czymś tam pomogła. Bardzo pragnę rodziny, dlatego tak kombinuję przy skreślaniu cyfr każdego tygodnia.

Robię się coraz powolniejsza, coraz więcej wysiłku kosztują mnie nawet proste czynności. Schylę się, by zetrzeć posadzkę w łazience, i po chwili jestem cała mokra: albo krew uderza mi do głowy, potem przed oczami latają małe iskierki, nie wiem co to jest, muszę spytać doktora. Gdyby Józef się dowiedział, dopiero byłby zdziwiony; zawsze mówił: — „Ty jesteś nie do zdarcia”. Teraz widzę, że nie miał racji. Lepiej, że tego nie dożył.

Kiedyś do mego pokoju wpadła duża, bzycząca mucha. Była najeżona, pękata i pewna siebie. Zamknęłam okno i za każdym wyjściem z pokoju przymykałam drzwi. Wieczorem mucha nie była już taka ruchliwa, zmalala trochę i ciszej bzyczała. Gdy kładłam się spać, pomyślałam, czyby jej nie wypuścić, ale nie zrobiłam tego. Siedząc na suficie doczekała rana; wcale mi nie przeszkadzała w spaniu. Rano parę razy przeleciała przez pokój leniwie i sennie; gdzie tam jej było do wieczorajszej zadziorności. Józef nie posadzał mnie o brak serca, ale ja nie mogłam się doczekać, kiedy będzie koniec z tą muchą. Koło południa jeszcze tylko od czasu do czasu unosiła się leniwie, by przelecieć przez pokój, ledwie jej sił starczyło. Patrzyłam na tę muchę i myślałam, że podobnie jest z moim życiem teraz, po śmierci Józefa; chyba po roku otrząsnęłam się z żaloby,

zdawało się, że odzyskuje dawną energię, lecz nie na długo starczyło tego wszystkiego; szybko stałam się jak ta mucha, coraz częściej jestem, jak ona drugiego dnia u mnie w pokoju — ospała, oglupiała, nierozumiejąca tego co się dzieje. Tę muchę znalazłam wieczorem na parapecie. Nie żyła.

Spotkania w związku rencistów odbywają się co drugi czwartek. Oczekuję ich z niecierpliwością, ponieważ w moim — pozbawionym wydarzeń życiu — stanowią rozrywkę i atrakcję, ale tak naprawdę wcale nie lubię tam chodzić. Obserwuję ludzi starych jak ja, nawet starszych; wszyscy doprowadzili swe życie do jakiegoś punktu i dobrze wiedzą, że już nic nowego przydarzyć im się nie może, jednak zabiegają, udają, że jeszcze coś tam mają do zrobienia. Mój Boże, tylko ja jedna wiem, jakie to kłamstwo, nabieranie innych, ale przede wszystkim samego siebie. Taka na przykład Zosia Radomska przychodzi zawsze z głową od fryzjera, w coraz to innej sukni, jakby jej to mogło pomóc. Nie wie, głupia, że tej pomarszczonej szyi, worów pod oczami i przygarbionych pleców nic już nie zmieni; nawet Walicki, najstarszy z naszego związku, prędzej obejrzy się za jaką dwudziestką, niż za nią. Nie ona zresztą jedna, inne też tak się zachowują. Może im to pomaga, dla mnie jest po prostu żalodne.

Czasem przechodzę koło domu dla zasłużonego pracownika służby zdrowia. Stoi tuż przy chodniku, więc wszystko dokładnie widać. Państwo się postarało, dom jest ładny, nowoczesny, z kolorowymi balkonikami, wewnątrz wygodny. A na tych balkonikach siedzą prawdziwe wraki: stare babki, stare dziadki, aż rozpacz bierze patrzeć. Niektórzy ledwo się ruszają. Pomyśleć, że nie tak dawno opiekowali się słabszymi od siebie. Jest tam jedna staruszka, pewno po osiemdziesiątce, którą stale widzę na balkonie, zapatrzoną — nie wiem — w przeszłość czy w przyszłość. Patrzy niewidzącym wzrokiem zawsze w jednym kierunku, czasami aż dreszcz przechodzi od jej spojrzenia. Bałabym się spytać o czym myśli i za czym wygląda.

Gdy medytuję, co będzie ze mną, przypomina mi się staruszka z balkonu. Jeśli nie wygram pieniędzy w totka i nie założę rodziny, czeka mnie podobny los, tyle że w brzydszym domu, bo mój zawód nie był tak ważny jak jej. Nie wygram w totka, to pewne. W tym wypadku wolałabym umrzeć wcześniej, choćby dziś, byle uniknąć takiej zrzęzionej starości. Kolorowe balkoniki, cóż z nich człowiekowi, jak ma pustkę w sercu i tęsknotę w oczach.

Za życia Józefa mieliśmy dużo znajomych, trochę rodziny. Po jego śmierci odwiedzali mnie często, potem nagle przestali. Ja także postanowiłam nie chodzić, poczekać, kiedy odczują moją nieobecność. No i okazało się, że nikt jej nie odczuł, wszyscy mają własne sprawy, moje nie są dla nikogo ważne. Czekałam parę tygodni. Kiedyś wybrałam się do Wilków. — A, dzień dobry, dzień dobry, co się nie pokazujeś, myśleliśmy, że zachorowałaś, albo co innego się stało. Więc sądzili, że zachorowałam i nikt nie zjawił się, by mi pomóc. Nie poszłam tam więcej. Wybrałam się za to do drugich i trzecich — wszędzie było to samo. Gdy przychodziłam, nikt mnie nie wyganiał, rozmawiali, zdawało się, że wszystko jest dobrze; ale gdy ja nie zajrzałam, od nich też nikt nogą nie zatrącił. Wówczas zrozumiałam, że nie jestem im potrzebna. Może zbyt szybko doszłam do tego wniosku, jednak kto wie czy nie lepiej wcześniej pozbyć się złudzeń.

Mylicie się sądząc, że rzeczywiście ich się pozbyłam. Właśnie każdej niedzieli oczekuję, że ktoś przyjdzie. Zawsze staram się mieć na niedzielę kawę, upiec ciasto, które potem sama zjadam. A przecież, gdy nadchodzi tydzień bez spotkania w związku rencistów i bez wizyty u Kazi, przez całe siedem dni nie mówię do nikogo ani słowa, poza sprzedawcą w sklepie. Wierzyć się nie chce, jednak takie tygodnie zdarzają się, i to wcale nierzadko.

Gdy pomyślę, ile czeka mnie jeszcze tygodni, miesięcy, może nawet lat pustych i bez nadziei na zmianę, ogarnia mnie rozpacz i, czy uwierzycie, ja, stara kobieta, myślę o popełnieniu samobójstwa. Człowiek nie powinien być sam; uważam, że samotność i starość to najgorsze kary tu, na ziemi.

Teraz starość jest w modzie, powstało nawet specjalne słowo: geriatria; słyszy się w radiu, czyta w gazetach. Mówią o zapewnieniu spokojnej starości, o zbudowanych domach opieki, nawet o trzeciej młodości na emeryturze. Najbardziej jednak mnie niepokoi, gdy piszą o przedłużeniu ludzkiego życia. Do stu pięćdziesięciu lat? Do dwustu? A może do trzystu? Chcę, by mój umysł stał się mniej jasny, bym stępiła i zobojętniała, oni tymczasem myślą o przedłużeniu tego wszystkiego. Dla mnie życie takiej Kazi ma sens, bo jest potrzebna; ja jestem jak uschnięta gałąź, a zeschłe drzewo najlepiej nadaje się na opał. Niech mi kto co chce mówi, zdania nie zmienię. Mam jeszcze trochę siły, mogłabym się przydać. Niepotrzebnie nabiłam sobie głowę toto-lotkiem, trzeba było szukać innego wyjścia. Gdyby ktoś mi pomógł...

ROZDZIAŁ

Z jednej strony sceny — kozetka, okno, na stoliku radio, popielniczka. Na ścianie wisi ręcznik. Z drugiej strony sceny — stolik restauracyjny nakryty obrusem, trzy krzesła. Na środku sceny stoi młody człowiek, wiek — około 25 lat, ubrany w granatowy fartuch.

— Dzień dobry!

— Cześć!

— Czołem!

Jak zwykle te same głosy skrzypią mi w uszach. Pozdrawiają mnie moi koledzy, przyodziani w granatowe fartuchy. Ja też jestem w takim fartuchu. Odpowiadam obojętnie, tak jak obojętne są ich powitania.

— Kuba, co robisz jutro? — pyta wiecznie zadowolony z życia Wacek.

— Nic — mówię i udaję, że czegoś pilnie szukam w szufladzie.

— Co to znaczy nic? — odwraca głowę w moją stronę i dodaje: — Przecież jutro niedziela.

— Nic, to znaczy, że jutro kompletnie nic nie robię. Chyba jasne — mój rozdrażniony głos nawet go nie zdziwił. Przyzwyczaił się już.

Młody człowiek idzie w kierunku kozetki. Zdejmuje fartuch i kładzie się na kozetce.

To było wczoraj. Teraz leżę na tapczanie i staram się jak najdalej wyciągnąć nogi między prześcieradłem a chłodną powłoką koldry. Strzyknęło w prawym kolanie. Od kilku tygodni tak mi strzyka, a za każdym razem jestem tym zaskoczony. Gdyby tak pograć w kosza, nie byłoby strzykania. Kiedy grałem ostatni raz? Ze dwa miesiące przed egzaminem magisterskim. Odtąd minęło półtora roku. Zaraz... egzamin w czerwcu, a w sierpniu do pracy. Dzisiaj jest ...piętnasty sierpień. Rocznicą! Pierwsza rocznica pracy w tym zakładzie, w tym mieście. A więc to już rok. Przez nieszczelnie zasłonięte okno łatwo przebijają promienie słońca. Znowu będzie upał. Trzeba przymknąć oczy, by nie widzieć paskudnych firanek i jeszcze brzydszych zasłon.